

[W takiej ciszy słyszała, jak na godzin stopnie...]



KRZYSZTOF KAMIL BACZYŃSKI

[W takiej ciszy słyszała, jak na godzin stopnie...]¹

[...] W takiej ciszy słyszała, jak na godzin stopnie pnie się w niej ten roślinny puch, twardnieje w orzech; to było dziecko małe, które wkołysali ciepłych swych ciał pomrukiem jak szelestem morza w jej pełnię i dojrzałość, która równa ziemi ogarnęła i rosła rączkami drobnymi, zarysem ust różowych, roślinką małą, którą czuła pod lekko wyciągniętą ręką. „Wróć!” — wołała, a krzyk jej — cień niedotykalny, pienie się w urnie nocy. Drzewa niebo niosły i jak rybak, co trąci nieostrożnym wiosłem tataraki i kwiaty podwodne ukaże, tak wiatr obłokom zwijał nachmurzone twarze i odsłaniały gwiazdy czystsze od pian bieli, a w pokoju nadymał żagle złej pościeli, która czekała na nich, na ciał drzewny oplót, w którym by miłość ufna zamknęła się słodko.

Dziecko

*

Właśnie skończyli mówić. A Piotr, pełen troski, broń za pas wkładał i jeszcze raz spojrzął na mapę nieruchomą; na białym papierze widział drzewa szumiące, zda się, każdy listek widział i domków sennaść. A jego żołnierze, jakby czując ten ciężar, co przy nim zawisnął, milczeli. Piotr każdemu dłoń szorstko uściśnął i powstał. Jeszcze spojrzął na ich twarze ciche, które były spokojne i jak jezior wody wygładzone, a tylko w nich głęboko na dnie, jak złoto, które na dno jeziora upadnie, błyszczała moc i nieobjęta młodość. Jeszcze wzrok chwilę wstrzymał i na Jana spojrzął, i jakąś niechęć poczuł, bo zdało się, dojrzał na dnie oczu błękitnych niepokój czy bolesć. Milczał chwilę i ręce jak struny na stole sprężył, chciał wnikać głębiej, chciał go myślą przebić, może zeń lęk odczytać czy kruchość pragnienia. Piotr nie lubił go. Ten dziwny artysta,

Żołnierz

Artysta, Żołnierz

¹[*W takiej ciszy słyszała, jak na godzin stopnie...*] — tekst stanowi dłuższą, alternatywną redakcję końcowych partii utworu *Wybór*. [przypis edytorski]

wielki, o płowych włosach, które mu jak płomień
wytryskały na słońcu, twarz wysmukła, czysta,
chłopięca prawie. Piotr dobrze pamiętał,
gdy Jan rozmawiał z nim w pracowni wielkiej,
gdzie się wznosiły żywe bryły piękna,
które Jan wznosił dłonią zwinną jak łasica,
i dziwne maski chimer na żółtych policach²,
wydarte dłonią Jana już chyba nie z gliny,
ale z najgłębszej skargi człowieczej i winy.
I widział Piotr, jak z dłoni Jana promień tryskał,
palec wznosił w marmurze niebios, przyciskał,
wiódł wolno, wyprowadzał i w oczach mu prawie
wypukły wzrok posągu mienił się i krwawił.
Piotr był żołnierz. Nie lubił, gdy go lzy zakrzuszą.
Sądził go jak kobietę, która z jego duszy
lzy wydarła tajemną iskrą czynów obcych.

*

Ziemia drgnęła i nagle zerwali się chłopcy,
słyszając łoskot motoru. Więc ruszyli cicho,
schodząc po wąskich schodach, jak do głębi śmierci,
gdzie czekał ich samochód. A nad nimi wzdychał
żagiel nocy ogromny jak lodowe piersi,
które oddechem zdmuchną serca, serca wchłoną,
a liście drzew muskały ciemne ciała domów.

*

Stanęli nagle. Niżej szyny lśniły,
jakby się wóz księżycy przetoczył po ziemi,
tak srebra nalał w ziemskie koleiny wozów.
Krzaki drgnęły i widać było skrzydła cieni —
— ludzie to byli. Całe wzgórze grozą
zjężyło się milcząco, kiedy tak czekali,
jak sierść czarna, bolesna, kołająca od stali.
I myślał Piotr: «Ten szlak, po którym szumią
jak deszcze smukłe wozy, tabory ciężarne,
gdzie się czołgają chmury niepogód i suną
grudni nieboskłon sztywny, lipców burze skwarne,
ten szlak, po którym płyną ludzkie zamyślenia,
tych, którzy pożegnali, i tych, co witają,
tych, którym jabłko krain złotych się otworzy,
jest teraz traktem śmierci. Na kształt sinych nożyc
tną go straszne pociągi, po brzegi nalane
ciałami naszych braci, o obliczach szklanych
od bólu, i ciałami kobiet smukłych, które
z miłości swych wydarte jak z niebiosów chmury,
i włosy ich złotawe, zlepione krwią, stygną,
a po nocach chwytają w martwe palce widmo
nadając mu imiona najmilsze, stracone...
Boże — pomyślał — Boże, mocą natchnij, otwórz
moje serce zmartwiałe, abym poczuł bliżej

Śmierć, Niewola

Modlitwa

²police — półki. [przypis edytorski]

ten płomień, który niosę im, wolności ogień,
który nam stopy z każdym krokiem liże
na tej ziemi rozdartej» — Wiatr nadpłynął cicho
i Piotr usłyszał nagle, jak trawa oddycha
pod jego piersią męską. Ustami do ziemi
przypadł i głowę uniósł już zimny, wyniosły.
Widział: księżyc rozgarniał chmury płaskim wiosłem
i żeglowało ciepło nieba, świat popiełał,
po brzegi wypełniony światłem; cień się przelał
spod jego stóp. I wtedy z daleka usłyszał,
jak się rozpruwa z wolna w krąg stojąca cisza,
jak szum daleki tryska jak siwy wodospad
i na szynach z daleka ciemna lawa rosła.
Wtedy skoczyli nagle. Ognia słup wytrysnął
i jak spieniona grzywa pary huk do góry
strzelił. Cisza. I łoskot. Jak żelazne sznury
szyny skręcone w górze zawisły. Grzmot runął.
Masyw się w dół przetoczył. Tylko ognia runo
drżało nad nim. Do broni! Jak rozgięte łuki
skoczyli w górę. Wzgórze całe z niemi
poderwało się nagle, odpryśło od ziemi
i rozdzielone na sylwetek palce
pełzało naprzód. Już się gięli w walce:
to przypadną i szable ostrych strzałów świsną,
to z granatem w powietrzu bez ruchu zawisną,
oczy szukają szybko, potem chmura tryśnie
i jeszcze większa ciemność jak obręcz uściśnie.
Dopadli. Huk zaworów. Już więźniowie z góry
skaczą. Zlewają ciała z ziemią. Nikną nagle.
Powietrze wkoło syczy jak wzburzone żagle
i pęka znów jak płótno. Cisza. Wtedy z boku
stoczył się grzechot strzałów. Schowane za brzegiem
rozprutego wagonu, zabłysły złe helmy,
karabiny. A ognia płonącego wełny
to opadną, to okryją łysk i świst złowrogi.
Stanęli i przypadli, biała nitka trwogi
już ich dusiła w gardle, już bieg pękł w pół drogi,
gdy się nagle z ciemności jak zjeżone rogi
dwa cienie poderwały. To w górę, to na dół
schylają się wśród biegu, na wietrze się kładą.
Oni dwaj zapaleni jedną iskrą razem,
na dwu końcach torowisk, z granatami w ręku,
w dymie skoczyli naprzód. Wtedy się ozwały
salwy za nimi. Najpierw pojedyncze strzały,
potem grzechot raz po raz jak sznur się napręzał
i słoniły ich z boków proste, długie węże
pocisków. Już dopadli. Rzucili. Grom. Chmura
krwawa z ziemi wytrysła i zastygła w górze.
W dole złote cekiny jak płonące róże
dogasały. I wtedy nagle, gdy już z wolna
zbliżali się, Jan spojrzął i zobaczył z bliska,
jak się zza martwych desek cień ostry wynurza,
bierze na cel. W ciemnościach widać: strzelec zmruża
oko i w Piotra mierzy. Zanim pocisk pluśnie,
Jan zerwał się. Zasłonił. Padł strzał jak klask nagły.
Trzepnął dłońmi i w ciemność dwa ciała upadły.
Wielkie drzewa zerwały się jak ptaki z krzykiem

Walka

Ofiara

i wiatr wystrzelił nimi swą ostatnią salwę.
Ucichło. Poprawiali przy pasach rzemyki.
Szczyk broni ładowanej. Świt się wtaczał wolno
jak zasłona bojowa biały. Ptak zakrzyczał
długo, ostro, chropawo. Piotr patrzył daleko,
tam, gdzie trzy drzewa nagie, jak krzyże nad rzeką,
czerniały jak rysunek ślepej mapy śmierci,
i czuł, jak mu się życie zsiada ciężko w piersi,
jak dławi, chciałby wypluć, wyrzucić je z siebie.
Za późno już. Jan leżał. Powoli na niebie
rozlewała się czerwień i na srebrnych krzakach
lzy świeciły, jak gdyby ktoś przed świtem płakał.

*

W uliczce ciężki upał, jakby w szklane słoje
powietrza ponalewał dzień żółtego miodu.
Maliny lśniły sztywno na grzędach ogrodu
i ostry zapach śmierci wisiał nad pokojem.
Piotr stał przy nim. Jan westchnął i oczy otworzył.
Jego ogromne ciało, małe już teraz,
pod koldrą, jakby obce było mu, zbyt ciężkie,
aby je udźwignęło jego serce męskie,
twarz z wosku, gdzie minuty powoli mu ryły
coraz to ostrzej źródła i wypukłe żyły.
Duszno było i ciężar powietrza przymruzał
usta, które co chwila otwierał, by mówić,
sufit drgający słońcem jak biała kałuża
opadał mu na oczy, aż wreszcie głos schwycił,
jakby to był smug wąski wiotkiej, krwawej nici:
«Piotrze — mówił. — Już teraz trzeba gdzieś daleko
iść, ja już nie jestem ciałem ni człowiekiem,
a jeszcze snem nie jestem. Piotrze, tak mi strasznie.
Jestem pusty, a nie wiem, która chwila zacznie
owijać mnie już śmiercią. Piotrze, żebym chociaż
mógł uwierzyć jak owi, którzy w niebo wierzą,
jak ogród, w którym kwitną obłoki niebieskie
zamiast kwiatów, a liny gwiazd napięte grają
tak im do wtóru, aż w Bogu się stają.
Ja, Piotrze, byłem martwy, zbyt mądry, ja w Boga
nie wierzyłem, nie wierzę, ja jestem dom pusty.
Ty módl, ty się módl za mnie, nim mi zgasną usta.
Sucho tak, taka susza, tak mi serce wyschło,
módl się, nim spopieleje ze mną ciemne wszystko.»
Zamilkł. Skwar wisiał, rozdzielał się w pnącze.
W usta wkłęcał się wolno, dusił, sprzęty łączył
ogromnym, lepkim płótnem. «Wiesz — mówił Jan dalej
takie złoto na niebie, a mnie ciemność pali,
ja muszę odejść, muszę, ja... Maria urodzi
syna. Słuchaj, nie — słuchaj, w tej ognia powodzi
on nie zginie. Ty, Piotrze...» Tu mu usta wkłęsały
i nos jak wosk studzony zamierał w luk ostry.
«Ty go, słuchaj...» Piotr ręce załamał i ciepła
łza mu spłynęła do ust, czuł, jak mu zakrzepła,
ogromna, coraz większa, gorąca, jak olów.
Skwar roztapiał przedmioty. Wielkie ciszy koło

Śmierć, Ateizm, Modlitwa

Śmierć, Syn

wirowało w milczeniu. Już się pierś szeroka
zapadła, miękka, zwiotczała i lekka,
oczy zamknął. I ledwie drgała jedna powieka.
«Módl się» — szepnął i opadł w cichy obłok snu.

*

I teraz Piotr zrozumiał, że Jan, gasnąc z wolna,
jemu dał swoje życie i kazał je drażyć,
że małe ciało ciepła, które się mozolnie
stawało teraz dzieckiem, na dłoniach mu ciąży,
że już pozostać musi i prowadzić czas,
który mu Jan dał w serce jak życia sznur szparki.
Wstyd go zdławił i osiadł łzą na gorzkie wargi.
I widział z dala przez okno nieboskłon,
gdzie morze chmur dalekie nawisało cicho,
i błagał. On nie umiałby tak zwykle, prosto
wziąć śmierci własnowolnie jak kwiatu ciemności,
on nie wiedział. Stał w niebie, jakby złoty kościół
skwar ciężki wybudował dla jego modlitwy,
i błagał. On — on, który w dzień ostatni bitwy
wietrzył lęk w oczach Jana. On żył, on pozostał,
jego droga nikomu potrzebna, zła, prosta
jak strzał karabinowy. «Boże — błagał — Boże,
niechże się pęk niebiosów zielonych otworzy,
niech spada jedna łza, łza, w której zobaczy
Jan swoją duszę smukłą. O, niech mi wybaczy
moje życie». Jan skonał i wtedy się chmura
nasunęła jak zwierzę ogromne, i kropla
spadła w otwarte usta wyschłej, czarnej ziemi,
nim się ulewa ciężka jak owoców potok
nie przeląła powałą, burzą, grzywą złotą.

Omen

*

Jan miał twarz napełnioną po brzegi milczeniem,
światłem błękitnym, a w nim uśmiech dziwny
stał się, jakby mu nigdy nie śpiewała ziemia,
i usta napełnione płynem niebios ciepłym,
już zbawione, dalekie jak kwiat w ciszy — krzepły.
I drętwiał Piotr u okna jak ostatni posąg
umarłego rzeźbiarza — jego ciemne włosy
na twarz mu spadły i pluskał w przestrzeni
głos jego serca czy głos smutnej ziemi?

*

Maria wtedy od okna odeszła, a drzewa
biły wielkimi dłońmi, szumiała ulewa,
jakby konie zerwane z ogromnej przestrzeni
tratowały zły całun pomarszczonej ziemi.
Skrzypnęły schody. A ona uniosła
dłonie swe niebieskawe, jakby ciężką wazę,
w której cierpienie jej ciężko zastygło,

i już tych rąk opuścić ani wznieść nie mogła.
Wiedziała. Wiał chłód niebios i szumiała trwoga.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/baczynski-w-takiej-ciszy>

Tekst opracowany na podstawie: Krzysztof Kamil Baczyński, Poezje, wybór K. Wyka, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1977.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Maciej Rajski, Paweł Koziół.

Publikację wsparli i wsparły: Katarzyna Wałichnowska, Tomasz Kolinko, zby, srocza, Piotr Skirski, animal, Jan Marcinkiewicz, Sławomir Czarnecki, Joanna Stępień, Alkina, Daga, Justyna Sławik, 10, Beata i Gabrysia Wcisło, Agnieszka Bielawska.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.